

Zniknął,
jakby wpadł wprost
do samego
piekła

ZŁO W CMENTARNEJ GÓRZE



KONRAD
CHĘCIŃSKI

MO
VA

KONRAD CHĘCIŃSKI

**ZŁO
W CMENTARNEJ
GÓRZE**



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska
Korekta: Adam Osiński (KorektArt)
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © guillermo_celano / Shutterstock.com
Wyklejka: © petrozza / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2021 by Konrad Chęciński

Copyright © 2021, Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2021
ISBN 978-83-67014-23-6



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/wydawnictwo.mova



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Zauważył ich, kiedy wyszli z sali.
Dwóch mężczyzn i ona.
Biała królowa.

Gdy schodzili po schodach, starszy obejmował ją w pól, a młodszy szedł obok, pociągając raz za razem z wysmukłej butelki.

– Daj trochę winka, Norbercik – powiedziała kobieta, odpychając starszego. Delikatnie ujęła podaną butelkę i przytknęła do ust. Piła długo, tak długo, aż kropla czerwonego trunku spłynęła jej z kącika warg. Roześmiała się, ocierając ją rękawem białego kożuszka, poklepała młodego po policzku, chwyciła go za szyję i przylgnęła do niej karminowymi ustami. Ten odepchnął ją gwałtownie, gdy poczuł, jak płyn cienką strużką spływa mu za koszulę.

– Co ty, kurwa, robisz? Odbiło ci czy jak?

Kobieta wygięła plecy i wycelowała w niego krwistoczerwone paznokcie, po czym zaśmiała się histerycznie i lubieżnie wysunęła język.

– Jestem wampirzyca. Spijam krew chłopców w bezksiężycowej nocy. Nie zadzieraj ze mną, maleńki, bo zginiesz.

Starszy mężczyzna rechotał.

– Uważaj, Norbercik. Nie przeklinaj przy damie. Panuj nad swoimi wieśniackimi nawykami, bo jesteś w zacnym towarzystwie. Chcesz posmakować wiedzy? Robiłeś to kiedyś z córką szatana, mały?

Młody dopił resztkę wina i cisnął butelką o ziemię.

– Oboje jesteście zdrowo pojebani.

– Czyli nie chcesz?

Kobieta znów go objęła, ale tym razem delikatnie, przyciągnęła do siebie i lekko ugryzła w ucho.

– Jaki chłopczyk drażliwy. Jaki słodki. Chodź z nami, maleńki, nie pożałujesz.

Jakby tak do niego skierowała te słowa. Stał tak i patrzył. Jaka biała, jaka czysta, jaka piękna.

Za plecami orkiestra znów zaczynała grać, wzywając do zabawy, bo niewiele już nocy zostało.

A tamci wsiedli do samochodu i odjechali.

Pobiegł po śladach doskonale widocznych na świeżym śniegu. Bał się. Nagle otoczyła go ciemność i ogarnął chłód. Chłód zimowej nocy. Ale to nie tego chłodu się bał, nie tej ciemności. Biegł coraz szybciej wzdłuż dwóch równoległych kolein wytłoczonych w nieskazitelnej bieli. Pot zalewał mu plecy. Strach, że je zgubi, że się rozpułną, że nagle zniknie ta podwójna wstęga prowadząca do niej. Do jego królowej z baśni, królowej śniegu. Że stary diabeł uwiezie ją na zawsze w wieczystą otchłań.

Ale ślady nie zniknęły. Wbiegł w las. Zza omszałych pni śledziły go świetliste oczy leśnych zjaw. Widział je, oczywiście, czuł jak zwykle, słyszał szelest ich szat ocierających się o gałęzie jeżyn i dzikiego bzu. Jednak tym razem nie zwracał na nie uwagi, nie

pozdrawiał, nie rozmawiał z nimi, jak to zwykle robił. Jego cel był tam – za zakrętem drogi, gdzie urywała się podwójna linia, jak ślad płóz ogromnych sań, sań, którymi mroźna królowa uwozi w dal młodych niewinnych chłopców. A on przecież jest młody i niewinny.

Biegł coraz szybciej. Biegł, ile sił w płucach, dyszał ciężko, czuł ból, jakby coś, robak jakiś, wygryzało mu wnętrzności. Mocno nacisnął lewy bok. Zgniecie robaka, nie pozwoli mu wyjść. Nie mógłby się tak przed nią pokazać, z robakiem na twarzy, o nie!

I nagle zrozumiał. Jakby lodowaty demon w jego mózgu zmroził wszystko śmiertelnym oddechem. Oni gnają do miasta! Wyjadą na szosę, urwie się ślad i uciekną. Duchy, ratujcie! Matko pradawna! Matko wszystkich matek, zlituj się, nie pozwól jej odjechać!

Spojrzał przed siebie. Już niedaleko! Las prześwituje, jeszcze tylko kawałeczek. Tyle co od drogi do stawu Szczepaniaków. Biegiem! Ale tam jest szosa! Tam ślad się urwie i zniknie na zawsze. Chyba że... Nie, to niemożliwe. Jeszcze bardziej przyspieszył. Kątem oka dostrzegł przyczajonego za drzewem złośliwego karła, z twarzą wykrzywioną w ohydny grymasie. Na czole miał głęboką krwistoczerwoną szramę, która pulsowała ognistym światłem.

Otrząsnął się. Nie dzisiaj! Nie tej nocy! Jeszcze tylko kilka kroków. I jeszcze. I już...

Wybiegł na szosę. Tutaj ślad się urywał. Spojrzał w lewo. Droga na Marianów. W prawo. Do miasta. I wiele podwójnych kolein wyjeżdżonych przez samochody w świeżym śniegu. W końcu spojrzał przed siebie. Odetchnął. Dzięki ci, Matko Przedwieczna!

Ślad znów się pojawił, po drugiej stronie drogi. Tam, gdzie stał ten stary, opuszczony dom. Prerażający. Przed domem samochód.

W oknie świeca. A u drzwi jeszcze coś. Wysmukły, chudy cień. Nieruchomy. U szyi wisiał mu sznur. Kościstą dłonią cień wskazywał okno.

Podszedł ostrożnie, powoli, aby niczego nie zepsuć. Chciał ją zobaczyć jeszcze raz, jak wtedy. Świetlistą i promienną. Pradawną świętą matkę. Zobaczyć. Białą w świetle świecy. I młodego mężczyznę, który stał za nią i trzymał ręce na jej rozświetlonych biodrach. Mężczyzna spoglądał w górę, jakby się modlił. Brakuje drugiego. Gdzie drugi? Stary diabeł. I nagle poczuł okropny ból, jakby sztywne, stalowe palce chwyciły go za ramiona. Krzyknął bezwiednie.

– Patrzcie no, ptaszka. Nasz przygłupek. Popatrzeć przyszedłeś, szczeniaku? W końcu ci się udało. A może i ty byś tak chciał, co? Kurdupłu jeden?

Próbował się wyrwać, ale wiedział, że to nic nie da. Stary diabeł miał przecież nadludzką siłę. Nikt by mu nie dał rady. Czuł ten uścisk, jakby ramiona palił mu ktoś gorącym żelazem, rozgrzanym do czerwoności prętem. Stalowe dłonie przycisnęły mu twarz do szyby. Oczy zaszyły łzami w bezsilnej złości.

– Patrz, mały. Podobna ci się? Czujesz go? – Poczuł gruzłową dłoń starego czarta w okolicy rozporka. A potem przyszedł kolejny, jeszcze potworniejszy atak bólu.

Oddychał ciężko, z nosem rozpląszczonym na szybie. Nie chciał już patrzeć, ale teraz nie miał wyboru. Diabeł rechotał oblesnie, szarpiąc go za krocze, a młody mężczyzna za oknem poruszał się coraz gwałtowniej, coraz szybciej i szybciej. Złapał kobietę za włosy i kilka razy mocno szarpnął do tyłu. Nagle zaczął ją bić po głowie. Dobiegł go stłumiony krzyk. I jeszcze jeden, a potem przeciągły jęk. Nieznośny, spazmatyczny jęk.

Zabije ją, zabije! – chciał krzyczeć, ale nie mógł. Żelazna dłoń przyciskała mu głowę do szyby, a cuchnący alkoholem oddech tuż przy uchu szeptał:

– Podoba ci się? Podoba? To przyszedłeś zobaczyć?

Chciał zaprzeczyć, wykrzyczeć swój sprzeciw, ale nie mógł nawet poruszyć głową. Czuł, że traci oddech. I wtedy, nagle, w rogu łóżka dostrzegł znajomą postać. W połatanej kufajce i futrzanej czapie zsuniętej na czoło siedział stary Grzela. Z grubą fioletową pręgą na szyi.

On tam siedzi – chciał zawołać – siedzi na łóżku! A przecież sam widziałem, jak wisi na sznurze, na gruszy za domem! Co on tam robi? Dlaczego wrócił?

Ale nic nie powiedział. Głos uwiązał mu w gardle, zdołał wydobyc z siebie tylko niezrozumiały bełkot, zanim zapadł w nie skończoną ciemność.

Dniało już, kiedy się ocknął. Leżał twarzą w śniegu i dygotał z zimna. Przytomność wracała powoli, a gdy wreszcie przypomniał sobie, gdzie jest, wstał i jeszcze raz przytknął twarz do okna. Jęknął. Zbudzony ze snu lodowaty demon zareagował natychmiast. Poczul łzy napływające do oczu. Nie chciał płakać, ale nie miał nad tym kontroli.

Szlochał, zanosząc się jak dziecko, którego mama po raz pierwszy zostawiła pośród obcych ludzi.

Biała królowa leżała na łóżku. Z głową odrzuconą do tyłu. Ubrana w biały kozuszek. Na jego nieskazitelnej bieli dostrzegł ogromną karminową plamę, ciężkie krople gęstego płynu skapywały na podłogę, tworząc rozległą jak jezioro kałużę.

To stało się nagle, bez uprzedzenia.

Uniósł głowę i zobaczył wszystko w jednej chwili. Resztki włosów, zakola gładkie i lśniące od potu, przebarwienia na skórze, podkrążone oczy, niedogolony zarost, a nade wszystko ten haniebnny zwał skóry rozlany pod brodą, okalający ją jak bandaż, jak jakiś żalosny temblak.

Zazwyczaj nie oglądał się w lustrze. Poranne rytuały ograniczył do niezbędnego minimum – maszynka do golenia, zęby, resztki włosów – czynności wykonywane automatycznie. Przelotne spojrzenie, by upewnić się, że wciąż tu jest. I właśnie tego dnia, może po raz pierwszy w życiu, Nikifor Poradecki dostrzegł tam coś, co już od jakiegoś czasu przeczuwał – nieuchronną, nieuniknioną, kroczącą ku niemu starość.

Od dawna czuł, że nadchodzi. Ale tego czwartkowego przedświątecznego poranka wyraźnie to zobaczył. Za ułożoną i wypielęgowaną fasadą krył się potwór. Quasimodo. Jak będzie wyglądał za dziesięć lat? Niedogolony, pomarszczony staruch, straszący dzieci

w autobusie. Stoczy się powoli i zdziadzieje w samotności. „Stary dziwak” – tak będą go nazywać w okolicy. Może gdyby się ożenił, gdyby choć do ludzi wyszedł, ale tak...

Stał z twarzy resztki piany i pocierając dłonią policzek, po raz pierwszy docenił wartość świątecznego prezentu. Przechodząc do kuchni, omiótł wzrokiem leżącą w przedpokoju choinkę, ściśniętą plastikową siatką, rzuconą tu przed dwoma dniami, zapomnianą i właściwie nikomu niepotrzebną. Poprzedniego roku nawet jej nie rozwinął. Leżała tak do wiosny, aż wreszcie, któregoś wieczoru, zabrał pożółkłego śpiącego się kikuta i cisnął do kontenera na śmieci przed komisariatem. Przeczuwał, że tę czeka podobny los. Przesunął pakunek nogą, aby nie blokował przejścia.

Za oknem dostrzegł pierwsze płatki śniegu. Puszyste, nieskalane, opadały powoli, jak w szklanej zabawce z widokiem Kremla, którą pamiętał z pokoju ojca. Lubił nią potrząsać, by obserwować, jak chaos maleńkich kryształków stopniowo zmienia się w nieuchronny porządek opadających swobodnie płatków błyszczącego śniegu. Prognozy zapowiadały obfite opady w pierwszych dniach świąt i gwałtowną odwilż w okolicach Nowego Roku. Nad ranem zetnie mróz i znów przybędzie ofiar sylwestrowego szaleństwa.

Dopił chłodną kawę. Śnieg sypał coraz mocniej, należało zacząć działać.

Zadzwonił telefon.

– Szefie, chyba mamy problem. – Ton komisarza Sobotki zdradzał, że tym razem to nie świąteczne życzenia. Marian lubił przesadzać.

– Mów.

– Niby nic się nie stało, panie inspektorze, może to fałszywy alarm, ale biorąc pod uwagę, że są święta i że trzeba coś z tym zrobić...

– Rozumiem, że chcesz zwalić na mnie jakąś robotę. Oszczędź sobie tych wstępów i mów, o co chodzi.

– Nie dlatego, panie inspektorze, to nie jest tak, że ja...

– Powiesz w końcu?

– Mieliśmy zgłoszenie o zaginięciu. Starszy facet. Antoni... chwilę... Antoni Pietrasik. Dzwoniła córka. Nie ma go w domu od wczoraj, nie ma go też u sąsiadów. Podobno znikał już wcześniej, ale od dawna mu się to nie zdarzało, a biorąc pod uwagę, że jest zimno, coś śmierdzącego może z tego wyniknąć. Wpadł chłop do rowu, zamarł, zapił się, cholera go wie. Albo siedzi gdzieś i święta opija tym swoim wiejskim bimbrem. Różnie może być, ale trzeba by sprawdzić. Pojechać chociaż, protokół spisać. Dla świętego spokoju. I kto to zrobi?

– Kto ma dyżur?

– Ja z Romkiem, z aspirantem Malickim znaczy. Ale on pobiegł choinkę dzieciakom kupić, bo kobieta z ziemią chciała go zrównać po tej naszej wczorajszej libacji, że święta za pasem, a nic w domu nie zrobione. Nie mam sumienia.

– Jak nazwisko, jeszcze raz powiedz?

– Pietrasik. Antoni Pietrasik.

– Cmentarna Góra, tak?

– Dzięki, szefie. Wiedziałem, że na panu można polegać. Tak, Cmentarna Góra. Numer domu czterdzieści sześć „a”.

Odłożył słuchawkę i stał przez chwilę bez ruchu. Zaginął starszy facet. Znajdzie się pewnie u sąsiadów, nie tu, to tam. Zaniepokoiło go coś innego. Cmentarna Góra. Zaczyna coraz bardziej zasługiwać na swoją ponurą nazwę. Podpalenie kilka lat temu, gwałt zbiorowy na siedemnastolatce w dziewięćdziesiątym siódmym, martwy facet w lesie niedługo później. No i ta rodzina. Trzech wisielców na przestrzeni paru lat. Cholerna dziura na końcu świata, w której się urodził i wychował. Przedpiekle ukryte

wśród lasów. Pojedzie, oczywiście, że tak. A nawet zrobi to z pewnego rodzaju perwersyjną przyjemnością.

Zarzucił płaszcz i zszedł na parter. Zgrzyt otwieranej krawaty kojarzył mu się nierozzerwalnie z zapachem świeżo parzonej kawy, który zawsze go tu witał. Wszyscy znali jego przyzwyczajenia. Gdy wszedł, Sobotka właśnie zalewał ją wrzątkiem. Był niedużym, krępyim typem prowincjonalnego policjanta o dobrodusznym rysach i łagodnym spojrzeniu. Na pewno nie został stworzony do służby na pierwszej linii, ale w dyżurce wyglądał przepisowo. Zawsze nienagannie wywiązany krawat, czysta koszula, czapka ułożona na brzegu stołu i – dla wtajemniczonych – charakter pisma dziecka z podstawówki: niedokształtne, okrągłe litery, które sprawiały, że policyjny raport wyglądał jak szkolna ankieta.

– Kawy, szefie? – zapytał retorycznie, wlewając jednocześnie wodę do drugiej filiżanki. – Na dobry początek dnia. Świątka jak malowanie, śnieg, mróz! Ma się tak utrzymać do sylwestra.

Usłyszeli głośnie szuranie na schodach, po czym drzwi zaskrzyptały przeciągle i do środka wjechała choinka. Za nią wszedł starszy aspirant Malicki, zwany przez wszystkich Romanem. Przy swoim wzroście i tuszy oraz skandynawskiej urodzie brodatego wikinga bez charakterystyki mógłby uchodzić za policyjną wersję świętego mikołaja.

Oparł drzewko o ścianę, dając przy tym upust przedświątecznej frustracji:

– Szlag by trafił, panie inspektorze, te cholerne święta. Spokoju za grosz, szal ludzi ogarnia, jak Boga kocham. Moja stara wytrząsa się na mnie, że choinki nie ma, prezentów dla teściów, karp jeszcze w stawie, któregoś dnia naprawdę przyjdzie się wyprowadzić przez tę całą nerwówkę. Stało się coś – bardziej stwierdził, niż spytał. – Pan inspektor tutaj z rana.

– Było wezwanie – wtrącił Sobotka, zalewając trzecią z kolei kawę. – Zaginięcie. Antoni Pietrasik, Cmentarna Góra, Polska.

– Stary Antoni? Zaginięcie? Włóczy się pewnie po wsi albo trzeźwieje gdzieś w stodole. To do nich podobne.

– Znasz człowieka?

Malicki rzucił czapkę na stół i rozsiadł się w fotelu.

– Pobicie – stwierdził krótko. – Rok temu, też gdzieś tak przed świętami.

– No proszę... – Poradecki upił łyk kawy. – Jakieś szczegóły?

Roman też pociągnął długi łyk, siorbiąc głośno, na co Sobotka pokręcił głową z dezaprobatą.

– Zgłoszono, że u Pietrasików się biją. Ojciec i syn. To znaczy stary Antoni i niejaki Mateusz P.

– Czekaj, czekaj. – Podinspektor Sobotka zastygł z filiżanką w pół drogi do ust. – Mateusz Pietrasik? Ten radny badylarz? Parę hektarów szklarni, rzodkiewka, pomidory...

– Ekologiczna produkcja. Ten sam. Brzmiało mało wiarygodnie, ale pojechaliśmy tam ze Staśkiem. Oczywiście wyszło, że to jakaś rodzinna sprzeczka. Kiedy dotarliśmy na miejsce, wszyscy zgodnie stwierdzili, że nic się nie stało, a wezwanie to pomyłka.

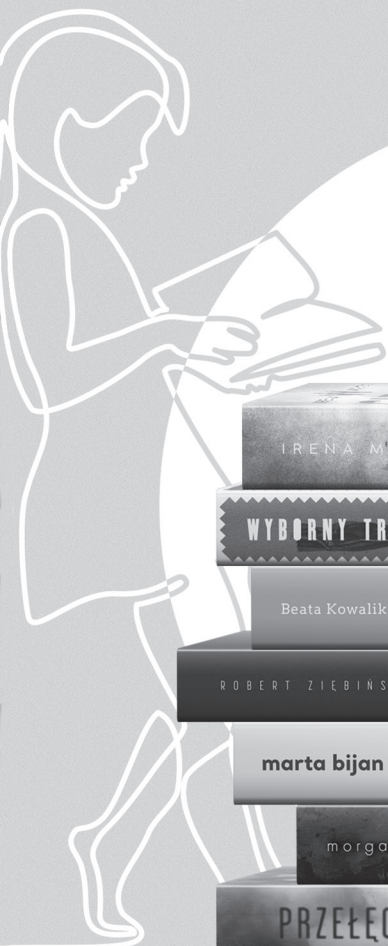
– Kto dzwonił?

– Sąsiadka. Adamusowa się nazywa, z tego, co pamiętam. Stara dewotka. Mieszka w chałupie po drugiej stronie drogi. Nienawidzi sąsiadów, a o radnym opowiada jak o wcieleniu Antychrysta. To jest zwyczajna zazdrość, panie inspektorze. Przez całe życie kobiecina patrzy, jak sąsiedzi się bogacą. Coraz większy dom, coraz lepszy samochód. Żona Pietrasika odstrzelona niczym cesarzowa, futra, skóra, ciężko na to wszystko patrzeć babinie, która mieszka z synem niemotą w dwuizbowej chałupie.

– Rozmawialiście z nią?



HISTORIE WART OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!